Robert Smoleń

Prawu i Sprawiedliwości udaje się (oczywiście niezamierzenie) dzielić polskie społeczeństwo w różnych sprawach i różnych konfiguracjach. W ten sposób tworzą się dynamiczne i wielorakie linie podziałów politycznych. PiS wciąż przewodzi w sondażach dzięki temu, że na każdym polu mobilizuje stałą grupę swoich zwolenników, zaś po drugiej stronie każdorazowo aktywizują się różne (choć w części pokrywające się) grupy. Jednak po przekroczeniu pewnego punktu krytycznego grupy te mogą się zacząć wzajemnie wspierać i może dojść do utrwalenia się jakiegoś w miarę stałego jednolitego podziału, przekładającego się na decyzje wyborcze.

Bitwa o demokrację

Podstawowy podział polityczny od czasu ostatnich wyborów parlamentarnych ukształtował się w ramach ostrego sporu o Trybunał Konstytucyjny. Działania obozu rządzącego doprowadziły do podważenia ładu konstytucyjnego oraz podstaw funkcjonowania demokratycznego państwa. Różne decyzje rządu w jego walce z Trybunałem wywołały silny opór znacznej części obywateli RP – co dobrze świadczy o sile społeczeństwa obywatelskiego. W niektórych sprawach było to, mierzone sondażowo, niezadowolenie grubo powyżej 50% (np. w kwestii publikacji orzeczeń TK), jednak ogólnie społeczeństwo podzieliło się mniej więcej w połowie: dla jednej części Konstytucja, demokracja, wolności obywatelskie okazały się wartościami nadrzędnymi, dla drugiej – zagrożenie dla tych wartości nie zostało uznane za wystarczający powód, aby odmówić zaufania obozowi rządzącemu, najwyraźniej w oczekiwaniu na korzyści mające płynąć z realizacji obietnic wyborczych. Wbrew pozorom, to wcale nie są złe proporcje. Wcześniejsze badania socjologiczne zawsze ujawniały silną skłonność społeczeństwa polskiego do akceptacji autorytaryzmu – wyraźnie wyższą niż owe 50 procent.
Do połowy bieżącego roku wydawało się, że „rząd dusz" w prodemokratycznej połowie społeczeństwa będzie niepodzielnie sprawował Komitet Obrony Demokracji. Od wakacji wyraźne jest jednak osłabienie działalności KOD. Można to wiązać z brakiem skuteczności protestu, ale być może również z brakiem doświadczenia jego liderów. Niektórzy komentatorzy zaczęli już prognozować, iż z końcem roku (a najpóźniej w połowie roku przyszłego) Trybunał Konstytucyjny zostanie w pełni podporządkowany rządzącej sile politycznej.
Prawo i Sprawiedliwość robi wiele (na swoje nieszczęście, ale z korzyścią dla mobilizacji społeczeństwa obywatelskiego), aby ten spór nie wygasł. Właśnie wniesiono kolejny (szósty!) projekt nowelizacji ustawy o Trybunale. Z punktu widzenia interesu PiS zapewne jest on niezbędny, aby możliwie sprawnie przeprowadzić wybór nowego prezesa TK spośród sędziów wskazanych przez tę partię. Operacja jest jednak na tyle grubymi nićmi szyta, że niewykluczona jest reakcja jakiejś części z owej prodemokratycznie sprofilowanej połowy obywateli RP. To niemal ostatni dzwonek, aby przeciwstawić się przejęciu przez ośrodek władzy ważnej instytucji, która ma tę władzę powściągać w ramach systemu tzw. checks and balances.
Odpryskiem wojny o demokrację jest wejście obecnego rządu RP w konflikt z instytucjami

europejskimi (Komisją i Parlamentem). Tu PiS stąpa po cienkim lodzie. Z jednej strony, może przeliczyć się stawiając na bierność UE. Jarosław Kaczyński, ministrowie rządu Beaty Szydło, a i ona sama, mylą się twierdząc, że spętanie Trybunału Konstytucyjnego w Polsce jest z punktu widzenia Unii Europejskiej sprawą błahą. Tu chodzi o aksjologiczne podstawy, na których europejska wspólnota została zbudowana. W tej kwestii nie może więc być kompromisów. Przekonanie co do tego, że UE jest i musi pozostać wspólnotą w pełni demokratycznych społeczeństw podzielają nie tylko komisarze UE i posłowie do Parlamentu Europejskiego, ale i politycy państw członkowskich – a także w gruncie rzeczy ich wyborcy, dla których standardy demokratyczne są absolutną normalnością. Do tej pory część państw UE (np. Niemcy) wykazywała się pobłażliwością, wyrozumiałością i cierpliwością. Być może nawet ewidentne zignorowanie 27 października br. przez rząd B. Szydło zaleceń Komisji Europejskiej, bardzo oczywistych, nie zostanie jeszcze uznane za przekroczenie czerwonej linii. Jeśli jednak sprawy zajdą za daleko (a z pewnością stanie się tak, gdy Trybunał Konstytucyjny zostanie realnie podporządkowany władzy wykonawczej i rządzącej partii politycznej za pośrednictwem ustaw o wątpliwej konstytucyjności oraz decyzji politycznych tworzących fakty dokonane), Unia może zostać po prostu zmuszona do podjęcia kroków. Samo wniesienie sprawy na forum Rady Europejskiej oraz Rady UE byłoby dla Polski kompromitujące. Pozycja rządu PiS w UE – i tak już marginalna – stałaby się niesłychanie trudna. Być może przed sankcjami na mocy art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej uchroni rząd PiS weto Viktora Orbana w Radzie Europejskiej – ale i to nie jest do końca pewne: uchodzi on za cynicznego gracza, którego lojalności nie można być do końca pewnym.
Z drugiej strony, doprowadzenie do sytuacji, kiedy Polska i jej obywatele zaczną w wymierny sposób tracić na konflikcie z UE, w który wciąga nas Prawo i Sprawiedliwość, bez wątpienia nie spodoba się wyborcom. Trudno też będzie zrzucić winę za to na instytucje UE. Postawy proeuropejskie na pewno okażą się trwalsze niż poparcie dla PiS.
Powstaje jeszcze pytanie, co stanie się z Trybunałem Konstytucyjnym w dłuższej perspektywie w możliwym przecież scenariuszu przejęcia TK i odpuszczenia ze strony UE. Jak będzie się zachowywał po zmianie układu rządzącego? Sędziowie z nominacji PiS nie wydają się mieć cech niezawisłości i kompetencji, którymi wykazywali się i wykazują wszyscy wcześniej powoływani członkowie Trybunału; można podejrzewać, że mogą okazać się posłusznymi wykonawcami dyspozycji politycznych. Czy więc kolejna większość parlamentarna skorzysta z drogi przetartej przez Prawo i Sprawiedliwość i dokona kolejnych przetasowań w składzie i sposobie funkcjonowania Trybunału? Czy też cierpliwie będzie rządzić godząc się z uchyleniami ustaw na wątpliwych podstawach prawnych, jednocześnie jednak odbudowując prestiż Trybunału?

Konflikt rządu z kobietami

Odrzucając w pierwszym czytaniu projekt ustawy przygotowany przez inicjatywę „Ratujmy kobiety" i kierując do dalszych prac restrykcyjny projekt Ordo Iuris, Prawo i Sprawiedliwość podsyciło stary, tlący się od dwudziestu kilku lat, konflikt do takiej temperatury, że wytyczył on nową linię podziału politycznego o szczególnej wadze.
Do tej pory sondaże regularnie pokazywały, iż prawie połowa respondentów opowiadała się za zachowaniem rozwiązań z ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży z 1993 roku, około 1/4 – za jej liberalizacją i tylko 1/8 – za zaostrzeniem. Jednak badanie IPSOS dla OKO.press z 28-30 września br. wykazało wzrost

poparcia dla liberalizacji ustawy – odpowiedź „złagodzić, dopuszczać przerywanie ciąży także z powodu trudnej sytuacji kobiety" wybrało 37% badanych („nie zmieniać" – 47% , „zaostrzyć ustawę, zakazać aborcji całkowicie" – 11%). „Czarne poniedziałki" 3 i 24 października zgromadziły w wielu miastach i miasteczkach Polski dziesiątki tysięcy protestujących, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Hasłem przewodnim tych protestów była – ogólnie rzecz ujmując – wolność wyboru. Nie wydaje się, aby większość z tych ponad 100.000 osób, którym chciało się wyjść na ulice w tej sprawie, mogła zostać usatysfakcjonowana potwierdzeniem obowiązywania przepisów z 1993 roku. Zaryzykuję tezę, iż zaczął się proces, który ma duże szanse doprowadzenia do liberalizacji przepisów antyaborcyjnych w Polsce. Nawet jeśli nie będzie to proces łatwy i bardzo szybki (np. z sondażu CBOS z połowy października wynika, że za liberalizacją opowiada się nadal 23%, za zaostrzeniem – 7%, a 62% nie chce zmiany obowiązującej ustawy). Można jednak sądzić, że w miarę rozwijania się dyskusji w tej sprawie będzie rosła grupa zwolenników liberalizacji i malała grupa stronników pozostawienia ustawy z 1993 r. Wiele osób uświadomi sobie na przykład, że mamy jedno z najbardziej restrykcyjnych ustawodawstw w tej kwestii w Europie, że najlepszym sposobem ograniczenia liczby przypadków aborcji jest nie karanie, lecz edukacja seksualna w szkołach (w oparciu o naukowo opracowane podstawy programowe) oraz łatwy dostęp do ginekologa i środków antykoncepcyjnych.

PiS tymczasem nadal brnie w kolejne zapowiedzi o zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej (wykreślenie możliwości przerwania ciąży, gdy badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu; bądź reinterpretacja – np. rozporządzeniami – tego zapisu ustawy). Bez wątpienia jest w tej sprawie pod presją środowisk skrajnie konserwatywnych (tzw. ruchy „pro-life"; przytaczając tę potoczną nazwę od razu zaznaczam, że zwolenników liberalizacji wcale nie uważam za „anti-life") oraz części hierarchów Kościoła rzymskokatolickiego. Jednak dalsze deklaracje w tej materii, a tym bardziej konkretne decyzje lub projekty, doprowadzą do dalszej intensyfikacji sporu. Tym razem obóz rządzący będzie miał przeciwko sobie znacznie więcej, niż połowę obywateli.

W tle tego konfliktu jest sprawa relacji Państwo – Kościół. „Ruch (na rzecz) kobiet" nie ma jasno wyrażonego charakteru antyklerykalnego, ale większość protestujących zapewne zgodzi się z tezą, iż Kościół powinien koncentrować się na zachęcaniu swoich wiernych do postępowania zgodnie z wyznawanymi normami moralnymi oraz na pomaganiu rodzinom, które zgodnie z nauczaniem Kościoła urodzą dzieci ciężko i nieodwracalnie upośledzone bądź z nieuleczalną chorobą, dzieci, których poczęcie nastąpiło w wyniku gwałtu lub innego przestępstwa oraz rodzinom mężczyzn, których żony zmarły przy rozwiązaniu ciąży stanowiącej zagrożenie dla życia kobiety ciężarnej; nie może natomiast w świeckim państwie dążyć do wpisania do prawodawstwa zakazów i sankcji wynikających z przekonań religijnych, których stosowanie byłoby wymuszone także na osobach kierujących się innymi zasadami, wynikających ze stanowisk innych Kościołów, oraz na osobach niewierzących.

„Czarny protest" odbywa się pod szyldem par excellence lewicowym. Niewykluczone, że PiS niechcący uruchomił proces tworzenia się nowej lewicy w Polsce. Ruch na rzecz praw kobiet i ich wolności wyboru jest odpowiedzią na poczucie realnego zagrożenia, staje w obronie rzeczywistych interesów wielkiej grupy społecznej. Gdyby nawet poparcie dla liberalizacji ustawy z 1993 roku zatrzymało się na poziomie 30 procent, byłby to wielki kapitał założycielski. Zbiory uczestników i sympatyków Ruchu Kobiet oraz zwolenników KOD-u powinny mieć dość znaczący iloczyn. W jednej i w drugiej zbiorowości jest wielu typowych wyborców o profilu

nowoczesnej centrolewicy. Według badań socjologicznych (np. profesora Jana Garlickiego, opisanych w książce pt. „Demokracja i integracja europejska. Studium osobistych i politycznych orientacji dwóch pokoleń Polaków") grupa – jak ich nazywa – neosocjaldemokratów jest jedyną, która nie akceptuje autorytarnego sposobu sprawowania władzy. Na marginesie dodajmy, że w czasie pisania wspomnianej książki była to najliczniejsza grupa obywateli posiadających spójny zestaw poglądów politycznych (36,9%).

Spór o szkołę

Na horyzoncie widnieje już kolejny konflikt o wielkiej sile rażenia: o reformę szkolną minister Anny Zalewskiej. Likwidacja gimnazjów, ewidentnie nieprzygotowana, wprowadzi olbrzymi chaos do szkół. Jeśli rząd nie wycofa się z tych planów, ich negatywne efekty odczują i władze samorządowe, i nauczyciele, i rodzice, i uczniowie. Zamieszanie przy okazji pospiesznego wytyczania nowych rejonów szkół, nadmiernej liczby kandydatów do lepszych liceów, prawdopodobnego słabego przygotowania programowego nauczania w nowych klasach VII i VIII oraz I w szkołach ponadpodstawowych wydaje się nieuniknione. Dodatkowo pracę stracą wszyscy dyrektorzy gimnazjów i wielu pedagogów. Samorządy będą zmuszone do sfinansowania kosztów adaptacji budynków, odpraw dla zwalnianych nauczycieli, etc., przesuwając na te cele środki, które powinny być wydane na inne cele ważne dla wspólnot lokalnych.
Sens całej tej zmiany nie polega tylko na reorganizacji systemu oświaty w znaczeniu instytucjonalnym; kryje się w nowych podstawach programowych. Można je będzie ocenić dopiero po tym, gdy zostaną opracowane i przedstawione opinii publicznej. Jednak wstępne zapowiedzi budzą obawy – choćby zwiększenie liczby godzin historii (są powody, aby sądzić, że będzie to narracja bardzo jednostronna) kosztem przedmiotów ścisłych, niezbędnych w systemie edukacji XXI wieku, w społeczeństwie aspirującym do miana innowacyjnego, deklarującym budowę gospodarki opartej na wiedzy. Od początku transformacji prawica (ZChN, LPR) kładła szczególny akcent na oświatę i pielęgnowanie zawłaszczonych mitów narodowych – Powstania Warszawskiego, a ostatnio „żołnierzy wyklętych". Politycznie dobrze na tym wyszła: wśród najmłodszych wyborców poparcie dla niej – w tym dla prawicy skrajnej (narodowej) – znacznie przewyższa poparcie w innych grupach wiekowych. Skutkiem nowej reformy szkolnej będzie utrwalenie tego stanu rzeczy. Można do tego dodać zapowiedź Jarosława Gowina zmian w organizacji szkolnictwa wyższego. Habilitacje wdrożeniowe i relegowanie z uczelni osób powyżej 65. roku życia doprowadziłyby do znacznej wymiany elity intelektualnej kraju.
Likwidacji gimnazjów i napisania na nowo podstaw programowych nie uda się wprowadzić bez kosztów politycznych dla PiS. Sojusz władz samorządowych wszystkich szczebli i rodzajów wspólnot (gminy wiejskie, miasteczka, miasta, powiaty, metropolie, województwa) ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego (do którego może przecież dołączyć z czasem i oświatowa „Solidarność"), z poparciem rodziców, będzie potężną siłą. Zdolną nie tylko do wywarcia presji na rzecz rozwiązań nieco cywilizujących „reformę", ale też i do jej wstrzymania. Opór z pewnością będzie znaczący. Z politycznego punktu widzenia kluczowe będzie uaktywnienie kolejnych dużych grup. Jeśli mimo to walec legislacyjny ruszy i plan min. Zalewskiej zostanie dotrzymany, przełoży się to na sformułowanie jasnych postaw antyrządowych przez osoby, które w części mogły dotąd pozostawać indyferentne wobec sporu politycznego.

Inne pola konfliktów

Potencjalnym polem minowym dla PiS-u jest obszar opieki medycznej. Zapowiedź likwidacji NFZ (prawda, że nielubianego) i powrotu do budżetowego finansowania służby zdrowia, ograniczenia lub likwidacji przepływów pieniężnych do mniejszych szpitali lub placówek mocno wyspecjalizowanych, upaństwowienia ratownictwa medycznego itd. może oznaczać, iż „reforma Radziwiłła" będzie podobna do „reformy Zalewskiej". Ta sfera jest uznawana za kluczową przez zdecydowaną większość społeczeństwa. Błędy tu poczynione miałyby dla rządu skutki katastrofalne. Warto też pamiętać, iż w tym sektorze mamy zamrożony, a nie rozwiązany, protest pielęgniarek.
Przedsiębiorcy mogą zostać dotknięci polityką uszczelniania dochodów budżetowych oraz zmianami w systemie podatkowym. Sukcesem tego rządu jest ograniczenie szarej strefy w handlu paliwami, ale generalnie dotychczasowe działania PiS w tym obszarze (podatki: handlowy i bankowy, ostatecznie przerzucony na klientów banków) pokazują nieudolność ekipy rządzącej. Zmienił się minister finansów, ale nie będzie to automatycznie oznaczać wzrostu jakości prac nad nowymi rozwiązaniami i ich wprowadzania w życie.
Niezadowolenie mogą też wywołać pomysły podatkowe rządu. Z pewnością – ze względu na wielkie potrzeby budżetu – będą w nich ukryte podwyżki podatków. Będzie to dogodna okazja dla opozycji do punktowania większości parlamentarnej. Ta zmiana oczywiście nie wywoła gwałtownych protestów (podatnicy rozliczają się raz do roku, ubytki w ich budżetach mogą być właściwie niezauważalne; nawet utrzymanie VAT na dotychczasowym poziomie prawdopodobnie– jako nieuzyskana korzyść – przejdzie niedostrzeżone), ale może przełożyć się na kolejne rozczarowanie rządem. Nałoży się to na niezałatwione sprawy np. niespełnienie obietnic wobec osób posiadających kredyty we frankach szwajcarskich czy niepodwyższenie kwoty wolnej od podatków.
PiS ma natomiast szczęście, że nie zapowiadają się wielkie spory płacowe wywołane przez silne, dobrze zorganizowane grupy pracownicze. Sytuacja na rynku pracy jest korzystna dla pracobiorców, w związku z czym zazwyczaj są oni w stanie doprowadzić do realizacji ich żądań poprzez presję bezpośrednio na pracodawcę. Są co prawda sektory z dominacją dużych firm z udziałem Skarbu Państwa, będące w złej kondycji, np. kompanie węglowe; jednak akurat górnicy będą pewnie ostatnią grupą, która w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości będzie musiała walczyć o swoje interesy drogą strajków oraz na ulicy.

* * *

Partia rządząca ryzykuje mnożąc pola sporu i linie podziałów politycznych. Zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości, do tej pory lojalnie ufający tej partii we wszystkich jej działaniach w obszarze wardego rządzenia (w tej analizie celowo pominięta została np. kwestia mitów smoleńskich), mogą zostać dotknięci którymś z nowych konfliktów. Nawet osoba korzystająca z programu „Rodzina 500+" i wierząca, że dostanie za kilka lat lokum w ramach zapowiadanego programu „Mieszkanie+", posiadająca konserwatywne poglądy, włącznie z akceptacją zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej, dopuszczająca możliwość zamachu w Smoleńsku, może zostać dotknięta zamieszaniem wynikającym ze zmian z systemie oświaty oraz ew. pogorszonym dostępem do lekarza. I odwrotnie: kobiety, które w wyniku awantury o projekt Ordo Iuris uświadomiły sobie konieczność aktywnego włączenia się do walki o swoje prawa chętniej mogą się angażować w popieranie KOD-u i zwalczanie pomysłów minister Edukacji. Krótko mówiąc, krzyżujące się dziś

różne linie podziału mogą z czasem zacząć się pokrywać – i to w sposób niekorzystny dla obozu rządzącego.

Robert Smoleń

http://raportysmolenia.pl/?p=2926